10 znakomitych utworów na wakacje – lato w mieście

To już nie czasy szkolne, więc latem należy pracować. I choć niewiele da się załatwić, bo albo „sezon ogórkowy”, albo „urlop kontrahentów”, to na posterunku meldować się trzeba.

Michał Dziadosz

A skoro nie ma wyjścia, to trzeba też jakoś sobie radzić. Z pomocą przyjdzie nie tylko chłodny napój, klimatyzacja i wieczorne kino, ale również wspaniała muzyka, która świetnie pasuje do lata w mieście.

1. Harold Melvin & The Blue Notes *Wake Up Everybody*, oryginalnie z EP *Wake Up Everybody* (1975)

Zmarły w roku 1997 Harold Melvin przez całe życie był znany bardziej po drugiej stronie oceanu i raczej wśród czarnoskórej publiczności. A przecież tworzył muzykę na tyle uniwersalną, że powinien być popularny także u nas. Jedna z jego piosenek na przełomie lat 80. i 90. XX wieku stała się nawet europejskim hitem. Mowa o „If You Don't Know Me By Now”, tyle że w wykonaniu Simply Red.

„Wake Up Everybody” to idealna kompozycja na przebudzenie. Zaczyna się łagodnie, przenikającymi się delikatnymi glissandami na fortepianie, narastającym pulsem elektrycznego pianina i dzwoneczkami, przypominającymi subtelne budziki. Później pojawia się głos i tekst niosący przesłanie dla różnych grup zawodowych. „Ciągle musimy przekształcać rzeczywistość, więc budźcie się nauczyciele, lekarze i konstruktorzy. Świat nie będzie lepszy, jeśli my go nie poprawimy”.

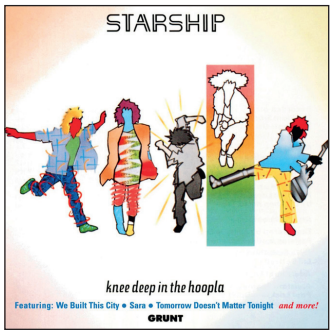

Utwór jest zbudowany na dynamicznym, ale nie nachalnym groovie. To pogodny klasyczny soul, zagrany na luzie, choć zaśpiewany z pełnym przekonaniem. Ponadsiedmiominutowa kompozycja, która może być ostatnim usprawiedliwieniem „jeszcze pięć minut…”. Dobrze jest przy niej wstawać.

2. Starship *We Built This City* z płyty *Knee Deep In The Hoopla* (1985)

W bridge'u utworu pojawiają się wprawdzie słowa o niedzieli, ale jest on tak dynamiczny, że działa jak potrójne espresso. Do weekendu pasuje więc średnio, chyba że będziemy tańczyć. Da się, bo sprawdzałem, chociaż nie umiem.

Jak wiemy, Starship był przedłużeniem działalności zespołu Jefferson Starship. Ten z kolei powstał na bazie słynnej hipisowskiej formacji Jefferson Airplane. Starship świetnie się odnalazł w formule lat 80. XX wieku i wylansował dwa wielkie przeboje: omawiany oraz „Nothing Gonna Stop Us Now”.

„We Built This City” to przenikające się cztery podstawowe sekwencje, wszystkie utrzymane w tym samym szybkim tempie. Do tego niesamowity duet dwojga wokalistów (Thomas/Slick) oraz niezwykle zgrany chórek, wyśpiewujący refrenową frazę. Znakomity utwór, by o poranku stwierdzić, że nie przybyło nam zmarszczek, a życie jest piękne.

3. Papa Dance *Pocztówka z wakacji* z płyty *Papa Dance* (1985)

Kompozycja z pierwszej płyty Papa Dance pasuje zarówno do autostrady, jak i drogi do pracy. Zabrzmi to dziwnie, ale trudno nie być dumnym, że taka perełka ujrzała światło dzienne na wyjałowionej PRL-em ziemi.

Zarówno tekst, jak i linie melodyczne są zgrabne i dobrze się wpisują w najlepsze trendy tamtych lat. Aranżacja podkreśla, że producenci zespołu świetnie się orientowali w trendach i sprzętach. W muzyce słychać nawiązania do A-ha (klawisze, echa) czy Ultravox (motoryczny basowy arpeggiator).

Utwór jest wykonywany przez pierwszy skład Papa Dance, z Grzegorzem Wawrzyszakiem na wokalu i Kostkiem Joriadisem na klawiszach. Grali trochę inaczej od późniejszego, bardziej komercyjnego wcielenia grupy, co nie znaczy, że lepiej lub gorzej. Warto sobie przypomnieć tę świetną kompozycję. Szczególnie, jeśli myśli o jakiejś pięknej blondynce nie dają wam spokoju, panowie.

4. The Ataris *Boys Of Summer* z płyty *So long, Astoria* (2003)

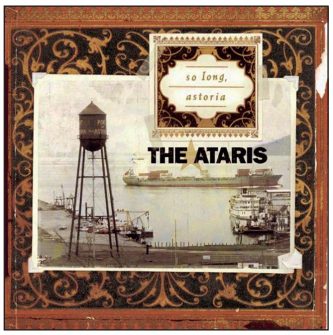

Pierwotnie pieśń wykonywana przez Dona Henleya – wokalistę The Eagles. Tego samego, który śpiewał „Hotel California". The Ataris wzięli na warsztat melodyjną, nostalgiczną piosenkę i przerobili ją na dynamiczny punk w stylu Zachodniego Wybrzeża. Ortodoksyjni wyznawcy gatunku stwierdzą, że to pozerka. My możemy się cieszyć czadowym i nadal melodyjnym utworem.

Jaka jest różnica pomiędzy tą wersją a oryginałem? Ano taka, że przeróbka jest o dwadzieścia lat młodsza, dosłownie i w przenośni. Wyznania Henleya to piękna i refleksyjna wypowiedź dojrzałego kochanka. The Ataris są wściekli, że lato minęło, a panna, będąca adresatką apostrofy, nie potraktowała uczucia równie poważnie co podmiot liryczny. „Nigdy nie zapomnę tych nocy, choć zastanawiam się, czy to nie był sen". Zapewniam, że w tym wydaniu frustracja jest inspirująca.

Przedstawicielki płci pięknej, czytające „Hi-Fi i Muzykę", stwierdzą zapewne, że oryginalna wersja jest bardziej liryczna, ergo bardziej strawna, ale radzę sięgnąć po ten cover. Świetny w drodze do pracy, choć trzeba uważać na fotoradary.

5. Ofra Haza *Im Nin'alu* z płyty *Shaday* (1988)

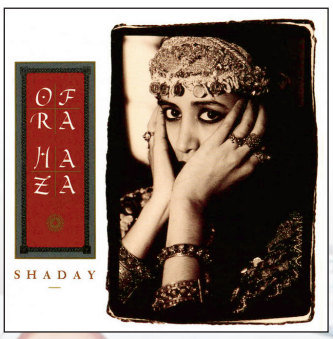

Ofra Haza nie żyje od prawie dwóch dekad, jednak zostawiła po sobie dużo pięknej muzyki. Urodziła się w Izraelu, w rodzinie żydowskich imigrantów z Jemenu. W jej twórczości dominowała muzyka bliskowschodnia, szczególnie jemenicka, żydowska i arabska. Konflikty kulturowe dla niej nie istniały, a sztuka była uniwersalnym językiem piękna i wzniesienia się ponad podziałami. W roku 1983 Haza prawie wygrała Eurowizję, reprezentując swój kraj obciachowym utworem „Hi", co po hebrajsku oznacza „żyję".

Z biegiem lat w aranżacjach jej piosenek coraz wyraźniej pojawiały się akcenty elektroniczne. Szczyt popularności stanowił polecany utwór. Choć wybrzmiewał już wcześniej w różnych wersjach (1978, 1984), to właśnie ta najbardziej zremiksowana i usamplowiona, z roku 1987, przyniosła piosenkarce międzynarodową sławę. „Nawet jeśli bramy możnych są zamknięte, bramy niebios pozostaną zawsze otwarte. Bóg żywy ponad Cherubinami podniesie wszystkich swym duchem". Mało wakacyjna tematyka, ale brzmienie tego kawałka, wraz z gorącym słońcem, zamienia nasze rozgrzane północne miasta w jeszcze bardziej rozgrzane miasta na Bliskim Wschodzie.

6. Mungo Jerry *In The Summertime* z płyty *Mungo Jerry* (1970)

Nie wypada, byśmy pominęli ten ważny standard muzyki rozrywkowej. To bardzo klasyczna piosenka. Harmonicznie uporządkowana i oczywista. Byłaby zrozumiała nawet dla XXI-wiecznej publiczności, z uwagi na przejrzystość struktury i krągłość melodii. Mungo Jerry dodali nieco folku, nieco bluesa i… udało się.

Liryka jest umiejscowiona w przestrzeni miejskiej, choć miasto jest też bazą wypadową dla dzikich przygód poza. Lekko hedonistyczny kawałek zachęca do kompletnego luzu, oczywiście w granicach prawa i dobrego smaku. „Nie jesteśmy ludźmi złymi ani sprośnymi, ani nieuprzejmymi, ale kiedy słonko dogrzewa, robimy to, co sprawia przyjemność" – śpiewa wokalista Ray Dorset.

Piosenka stała się międzynarodowym hitem i dała brytyjskiej grupie Mungo Jerry impuls do działania przez następnych trzydzieści lat. Singiel sprzedał się w około 30 mln egzemplarzy, co plasuje go bardzo wysoko w historycznych rankingach.

Pocieszny i zgrabny utwór. A podobno powstał w dziesięć minut, w przerwie od regularnej pracy, którą trudnił się lider zespołu Ray Dorset, zanim zaczęła się wielka kariera.

7. Isaac Hayes *The Feeling Keeps On Coming* z płyty *Joy* (1973)

Mistrz Isaac Hayes ze swoim niesamowitym głosem pasuje do wielu okoliczności. Jednak do upału pasuje najbardziej. „The Feeling Keeps On Coming" to prawie siedem minut zmysłowości i stonowanego groove'u, pod którym czai się seksualna eksplozja.

Polecanie tego typu utworów do pracy może nie jest najlepszym pomysłem, ale to naprawdę lepsza droga do koncentracji niż zatapianie się w typowej letniej rąbance. Nieodżałowany Isaac Hayes był nie tylko znakomitym muzykiem. Przez lata podkładał też głos „Szefowi" – jednej z postaci serialu „Miasteczko South Park". Przygoda z dubbingiem nie zakończyła się jednak najlepiej, gdyż Hayes ostro się poprztykał z twórcami kreskówki. Poszło o odcinek, w którym robiono sobie żarty ze scjentologów; oberwało się nawet Tomowi Cruise'owi. O ile wcześniej nie było problemów z parodiowaniem chrześcijaństwa, judaizmu, islamu czy nabijaniem się z mormonów, to tym razem Hayes – członek „kościoła scjentologicznego" – poczuł się urażony. Nieważne jednak kontrowersje i osobliwy światopogląd. Muzyka pozostaje tak samo dobra.

8. Quincy Jones *Summer In The City* – singiel 1973, kompilacja *I Heard That!* (1976)

Tego lata rezygnujemy z ociężałej wersji Joe Cockera i sięgamy głębiej w przeszłość. W oryginale była to optymistyczna pieśń zespołu The Lovin' Spoonful o lecie w mieście i jego nocnej stronie. O tym, że za dnia jest ciężko, bo wszyscy ledwie żyją z powodu upału, ale kiedy słońce chowa się za horyzontem, robi się zupełnie inaczej. Trzeba się dobrze ubrać i ruszyć na poszukiwanie drugiej połówki, bo od tego jest ten magiczny czas.

Piosenka ujrzała światło dzienne w roku 1966 i od razu stała się wielkim przebojem. Jednak kilka lat później znany producent Quincy Jones wypuścił na świat jej własną interpretację. Wykorzystał charakterystyczny groove, nadawany nie tylko przez sekcję, ale także przez elektryczne pianino, improwizowaną strukturę i zmysłowy żeński wokal. Każdy dźwięk jest tu metaforą upału, topiącego się asfaltu, rozgrzanych zakamarków… zarówno miasta, jak i wyobraźni.

9. Myslovitz *Historia jednej znajomości* z płyty *Sun Machine* (1996)

Kolejny polski akcent na naszej playliście. Dlaczego wersja Myslovitz, a nie oryginalna Czerwonych Gitar? Po pierwsze, od premiery coveru minęło już ponad dwadzieścia lat, a dziś słucha się go jeszcze lepiej niż wtedy. Po drugie, polski zespół znakomicie wyczuwał trendy, które za chwilę miały zawładnąć światem.

Ta wersja wyszła niemal równolegle z „Hallelujah" w wykonaniu Jeffa Buckelya. Oczywiście, nikt nie ma zamiaru porównywać legendarnego wokalisty i naszego Artura, ale atmosfera, jaką kreują, jest zbliżona. Zespół gra bardzo przestrzennie. Naszą starą, poczciwą piosenkę przenosi niesamowitymi pogłosami, tremolami i opóźnieniami w przestrzeń bardziej oceaniczną niż bałtycką. Choć Rojek śpiewa momentami jak ksiądz, który nie przeszedł mutacji, to przez większość z niemal siedmiu minut utworu tworzy naprawdę dobry klimat. Już wtedy było wiadomo, że Myslovitz będzie zespołem wielkim, który połączy ze sobą pozornie sprzeczne światy: muzyki ambitnej i tej do radia.

10. Commodores *Nightshift* z płyty *Nightshift* (1985)

„Nocna zmiana" to metafora odejścia w zaświaty, a utwór jest uroczym, lekkim hołdem dla dwóch wielkich muzyków: Marvina Gaye'a i Jacka Wilsona. Obaj zmarli w roku 1984, więc Commodores postanowili ich uczcić. W 1985 roku kompozycja była nominowana do nagrody Grammy.

Dla zespołu to bardzo ważny moment, gdyż Lionel Richie, którego już nie było w składzie, odnosił wtedy wielkie sukcesy przebojem „Hello". Opuszczeni Commodores szukali sposobu, by ponownie zabłysnąć w show biznesie. Udało się. Piosenka stała się jedną z najbardziej znanych w repertuarze grupy.

Udowadnia, że można pogodnie podejść do śmierci, a żałoba powinna się wiązać z nadzieją i radością. Radością z faktu, że ktoś wielki żył wśród nas, a nie żalu, że odszedł. Radością wynikającą z wiary, że się nie rozpłynął, ale nadal tworzy swoją cudowną sztukę, tyle że „tam na górze".

Taka też jest kompozycja Commodores: lekka i zwiewna, ale też piękna i tajemnicza, z nawiązaniami do twórczości wielkich nieobecnych. „Wiem, że nie jesteś sam na nocnej zmianie".

Ale co to ma wspólnego z latem w mieście? Ano… latem w mieście świetnie się tego słucha. To utwór z niesamowicie pozytywną energią, ale nie głupkowaty. Świetnie napisany, zagrany i zaśpiewany. Perfekcyjny na późnowieczorne powroty z pracy.